

**STAR
WARS™**

BEZPOŚREDNI KONTAKT
KOMANDOSI REPUBLIKI

**STAR
WARS**™

BEZPOŚREDNI KONTAKT
KOMANDOSI REPUBLIKI

KAREN TRAVISS

TŁUMACZENIE
ANDRZEJ SYRZYCKI

Tytuł oryginału: Star Wars: Republic Commando. Hard Contact
Projekt graficzny okładki: Scott Biel
Ilustracja na okładce: Deena So'Oteh
Redakcja: Magdalena Stachowicz, Magdalena Kozłowska
Korekta: Zofia Firek, Barbara Opiłowska
DTP: Paweł K. Janas

© & TM 2026 Lucasfilm Ltd. All rights reserved.

Wydawca:

Wydawnictwo Olesiejuk an imprint of Dressler Dublin sp. z o.o.

Dane do kontaktu:

Wydawnictwo Olesiejuk, an imprint of Dressler Dublin sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. (+48 22) 733 50 00

e-mail: wydawnictwo@dressler.com.pl

www.wydawnictwo-olesiejuk.pl

Dystrybucja:

Dressler Dublin sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. (+48 22) 733 50 31/32

e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl

www.dressler.com.pl

Druk: Abedik SA

Star Wars. Komandosi Republiki. Bezpośredni kontakt to fikcja literacka. Wszystkie nazwy, miejsca i wydarzenia powstały w wyobraźni autorki, a jakiegokolwiek podobieństwo do miejsc, zdarzeń i osób, żywych lub zmarłych, jest całkowicie przypadkowe.

Poprzednie wydania książki ukazały się nakładem Wydawnictwa Amber.

STAR WARS LEGENDY – CHRONOLOGIA



ZANIM POWSTAŁA REPUBLIKA
37 000–25 000 LAT PRZED WYDARZENIAMI
STAR WARS. NOWA NADZIEJA

25 793 LAT PRZED WYDARZENIAMI STAR WARS. NOWA NADZIEJA

ŚWIT JEDI. W NICOŚĆ



STARA REPUBLIKA
5000–67 LAT PRZED WYDARZENIAMI
STAR WARS. NOWA NADZIEJA

ZAGINIONE PLEMIE SITHÓW

3954 LAT PRZED WYDARZENIAMI STAR WARS. NOWA NADZIEJA

STARA REPUBLIKA. REVAN

3650 LAT PRZED WYDARZENIAMI STAR WARS. NOWA NADZIEJA

STARA REPUBLIKA. OSZUKANI
CZERWONE ŻNIWA
STARA REPUBLIKA. FATALNY SOJUSZ
STARA REPUBLIKA. ZAGŁADA

1032 LAT PRZED WYDARZENIAMI STAR WARS. NOWA NADZIEJA

BŁĘDNY RYCERZ
DARTH BANE. DROGA ZAGŁADY
DARTH BANE. ZASADA DWÓCH
DARTH BANE. DYNASTIA ZŁA



NARODZINY IMPERIUM
67–0 LAT PRZED WYDARZENIAMI
STAR WARS. NOWA NADZIEJA

67 LAT PRZED WYDARZENIAMI STAR WARS. NOWA NADZIEJA

DARTH PLAGUEIS

33 LATA PRZED WYDARZENIAMI STAR WARS. NOWA NADZIEJA

MASKA KŁAMSTW
DARTH MAUL. ŁOWCA Z MROKU

32 LATA PRZED WYDARZENIAMI STAR WARS. NOWA NADZIEJA

MROczne WIDMO
EPIZOD I

PLANETA ŻYCIA
POZA GALAKTYKĘ
NADCHODZĄCA BURZA

22 LATA PRZED WYDARZENIAMI STAR WARS. NOWA NADZIEJA

ATAK KLONÓW
EPIZOD II

22–19 LAT PRZED WYDARZENIAMI STAR WARS. NOWA NADZIEJA

WOJNY KLONÓW

WOJNY KLONÓW. DZIKA PRZESTRZEŃ
WOJNY KLONÓW. ŻADNYCH JEŃCÓW

WOJNY KLONÓW. GAMBIT: MISJA NA LANTEEB
WOJNY KLONÓW. GAMBIT: OBLĘŻENIE

KOMANDOSI REPUBLIKI. BEZPOŚREDNI KONTAKT
KOMANDOSI REPUBLIKI. POTRÓJNE ZERO
KOMANDOSI REPUBLIKI. PRAWDZIWE BARWY
KOMANDOSI REPUBLIKI. ROZKAZ 66

WOJNY KLONÓW. PUNKT PRZEŁOMU
WOJNY KLONÓW. SPISEK NA CESTUSIE
WOJNY KLONÓW. MEDSTAR I. CHIRURDZY POŁOWI
WOJNY KLONÓW. MEDSTAR II. UZDROWICIELKA JEDI
WOJNY KLONÓW. PRÓBA JEDI
YODA. MROczne SPOTKANIE
LABIRYNT ZŁA

19 LAT PRZED WYDARZENIAMI STAR WARS. NOWA NADZIEJA

ZEMSTA SITHÓW
EPIZOD III

KENOBI
CZARNY LORD. NARODZINY DARTHA VADERA
KOMANDOSI IMPERIUM. LEGION 501

NOCE CORUSCANT 1. POGROM JEDI
NOCE CORUSCANT 2. ALEJA CIENI
NOCE CORUSCANT 3. ŚCIEŻKI MOCY

OSTATNI JEDI

10 LAT PRZED WYDARZENIAMI STAR WARS. NOWA NADZIEJA

HAN SOLO. RAJSKA PUŁAPKA
HAN SOLO. GAMBIT HUTTÓW
HAN SOLO. ŚWIT REBELII

LANDO CALRISSIAN I MYŚLOHARFA SHARÓW
LANDO CALRISSIAN I OGNIOWICHER OSEONA
LANDO CALRISSIAN I GWIAZDOGROTA THONBOKA

HAN SOLO NA KRAŃCU GWIAZD
ZEMSTA HANA SOLO
HAN SOLO I UTRACONA FORTUNA

SZTURMOWCY ŚMIERCI
MOC WYZWOLONA

STAR WARS LEGENDY – CHRONOLOGIA



ERA REBELII

0–5 LAT PO WYDARZENIACH
STAR WARS. NOWA NADZIEJA

GWIAZDA ŚMIERCI
MROCZNE GRY

0

NOWA NADZIEJA EPIZOD IV

OPOWIEŚCI Z KANTYNY MOS EISLEY
OPOWIEŚCI Z IMPERIUM
OPOWIEŚCI Z NOWEJ REPUBLIKI
SKOK MILLENIUM
POŚLUSZEŃSTWO
RĘKA SPRAWIEDLIWOŚCI
RUINY DANTOOINE
SPOTKANIE NA MIMBAN

3

LATA PO WYDARZENIACH STAR WARS. NOWA NADZIEJA

IMPERIUM KONTRATAKUJE EPIZOD V

OPOWIEŚCI ŁOWCÓW NAGRÓD
CIEŃ IMPERIUM

4

LATA PO WYDARZENIACH STAR WARS. NOWA NADZIEJA

POWRÓT JEDI EPIZOD VI

OPOWIEŚCI Z PAŁACU JABBY

MANDALORIAŃSKA ZBROJA
SPISEK XIZORA
POLOWANIE NA ŁOWCĘ

PAKT NA BAKURZE
LUKE SKYWALKER I CIEŃ MINDORA



NOWA REPUBLIKA

5–25 LAT PO WYDARZENIACH
STAR WARS. NOWA NADZIEJA

X-WINGI. ESKADRA ŁOTRÓW
X-WINGI. RYZYKO WEDGE'A
X-WINGI. PUŁAPKA KRYTOSA
X-WINGI. WOJNA O BACTĘ
X-WINGI. ESKADRA WIDM
X-WINGI. ŻELAZNA PIĘŚĆ
X-WINGI. ROZKAZ SOLO

ŚLUB KSIĘŻNICZKI LEII
ZJAWA Z TATOOINE

DZIEDZIC IMPERIUM
CIEMNA STRONA MOCY
OSTATNI ROZKAZ

X-WINGI. ZEMSTA ISARD

W POSZUKIWANIU JEDI
UCZEŃ CIEMNEJ STRONY
WŁADCY MOCY

JA, JEDI
DZIECI JEDI
MIECZ CIEMNOŚCI
PLANETA ZMIERZCHU
X-WINGI. MYŚLIWCE ADUMARU
KRYSTAŁOWA GWIAZDA

PRZED BURZĄ
TARCZA KŁAMSTW
PRÓBA TYRANA

NOWA REBELIA

ZASADZKA NA KORELII
NAPAŚĆ NA SELONII
ZWYCIĘSTWO NA CENTERPOINT

WIDMO PRZESZŁOŚCI
WIZJA PRZYSZŁOŚCI

PLAGA
ROZBITKOWIE Z NIRAUAN

SPADKOBIERCY MOCY
AKADEMIA CIEMNEJ STRONY
ZAGUBIENI
MIECZE ŚWIETLE
NAJCIEMNIEJSZY RYCERZ
OBLĘŻENIE AKADEMII JEDI

STAR WARS LEGENDY – CHRONOLOGIA



NOWA ERA JEDI

25–40 LAT PO WYDARZENIACH
STAR WARS. NOWA NADZIEJA

WEKTOR PIERWSZY
MROCZNY PRZYPIŁYW I. SZTURM
MROCZNY PRZYPIŁYW II. INWAZJA
AGENCI CHAOSU I. PRÓBA BOHATERA
AGENCI CHAOSU II. ZMIERZCH JEDI
PUNKT RÓWNOWAGI
OSTRZE ZWYCIĘSTWA I. PODBÓJ
OSTRZE ZWYCIĘSTWA II. ODRODZENIE
GWIAZDA PO GWIEZDZIE
MROCZNA PODRÓŻ
LINIE WROGA I. POWRÓT REBELII
LINIE WROGA II. TWIERDZA REBELII
ZDRAJCA
SZLAK PRZEZNACZENIA
HERETYK MOCY I. RUINY IMPERIUM
HERETYK MOCY II. UCHODŹCA
HERETYK MOCY III. SPOTKANIE PO LATACH
OSTATNIE PROROCTWO
JEDNOCZĄCA MOC

35 LAT PO WYDARZENIACH STAR WARS. NOWA NADZIEJA

MROCZNE GNIAZDO I. WŁADCA DWUMYŚLNYCH
MROCZNE GNIAZDO II. NIEWIDZIALNA KRÓLOWA
MROCZNE GNIAZDO III. WOJNA ROJÓW



DZIEDZICTWO

40+ LAT PO WYDARZENIACH
STAR WARS. NOWA NADZIEJA

DZIEDZICTWO MOCY. ZDRADA
DZIEDZICTWO MOCY. BRATERSTWO KRWI
DZIEDZICTWO MOCY. NAWAŁNICA
DZIEDZICTWO MOCY. WYGNANIE
DZIEDZICTWO MOCY. POŚWIĘCENIE
DZIEDZICTWO MOCY. PIEKŁO
DZIEDZICTWO MOCY. FURIA
DZIEDZICTWO MOCY. OBJAWIENIE
DZIEDZICTWO MOCY. NIEZWYCIĘŻONY
ROZDROŻA CZASU
ODPIŁYW
SOKÓŁ MILLENNIUM

43 LATA PO WYDARZENIACH STAR WARS. NOWA NADZIEJA

PRZEZNACZENIE JEDI: WYGNANIEC
PRZEZNACZENIE JEDI: OMEN
PRZEZNACZENIE JEDI. OTCHŁAŃ
PRZEZNACZENIE JEDI. ODWET
PRZEZNACZENIE JEDI. SOJUSZNICZY
PRZEZNACZENIE JEDI. WIR
PRZEZNACZENIE JEDI. WYROK
PRZEZNACZENIE JEDI. HEGEMONIA
PRZEZNACZENIE JEDI. APOKALIPSA
X-WINGI. CIOS ŁASKI

PROLOG

OPOWIEM WAM, jak do tego doszło. W dole panują nieprzeniknione ciemności, a my zjeżdżamy szybko po linach w głąb rozpadliny. Zbyt szybko, bo kiedy ląduję na dnie, moje górne zęby zderzają się z dolnymi. Jestem pierwszy. Omiotam czeluść snopem światła z mini-reflektora helmu.

Od Geonosjan oddziela nas płyta zamkniętych na trzy spusty blasteroodpornych wrót, a ja nie mam dość czasu, żeby ocenić siłę ładunku wybuchowego, koniecznego do ich wysadzenia. Oznacza to, że muszę użyć jak najwięcej materiału... M – czyli mnóstwo, jak mnie szkolono. Upchnąć termiczną taśmę wokół krawędzi i wcisnąć detonator. Łatwiej powiedzieć, niż wykonać, bo sporządzoną z jakiegoś stopu płytę drzwi pokrywa gruba warstwa błota.

Ze słuchawki komunikatora hełmu wydobywa się głos dowódcy Drużyny Delta:

- Urządzacie tam przyjęcie, Theta?
- Nie można przynaglać specjalisty przy pracy...
- Zamierzasz powiedzieć to droidom-pajęczakom?
- Cierpliwości, Delto. - „Szybciej, szybciej, przyłgnij wreszcie do tego metalu, dobrze?” - Już kończę.
- Zaraz będzie tam całe mnóstwo pajęczaków...
- Słyszę cię, Delto.
- Jak sobie życzysz. Nie wywieram na ciebie żadnej presji. Absolutnie żadnej...

- Gotowe!

Przyklejamy się do ścian rozpadliny. Na ułamek sekundy zalewa nas jaskrawe białe światło. Słyszymy ogłuszający huk i czujemy, jak sypie się na nas pył zmieszany z grudkami gleby. Kiedy przejaśnia się na tyle, że możemy coś zobaczyć, zauważamy szczątki wrót wgięte do środka. Z ogromnej dziury w płycie wydobywają się kłęby dymu.

- Drużyno, macie pozwolenie na wejście do środka. Działać, działać, działać!

- Już myśleliśmy, że nigdy nas tam nie zaprosicie.

Drużyna Delta wpada do środka i rozpląszcza się na miękkim gruncie. Nieprzyjaciele są prosto przed nami. Nie przestają strzelać. Zrywamy się, cofamy i odpowiadamy na ogień sześciu przeciwników. Za wrotami trafiamy na istny labirynt komór i tuneli. Jeżeli nie zachowamy ostrożności, ktoś może nas zaatakować z najmniej spodziewanej strony.

Mój hełm ma teoretycznie chronić przed zalewem decybeli, ale ta wojna jest głośna. Naprawdę głośna. Z powodu łoskotu wystrzałów z geonosjańskiej broni sonicznej i odgłosów naszych blasterów nie słyszę rozkazów, jakie mogą się wydobywać ze słuchawki komunikatora hełmu.

Rejestruję jednak dźwięki wystrzałów z broni przeciwpancernej. *Fierfek!* Wyczuwam to przez podeszwy butów.

Moją uwagę zwraca jakiś ruchomy kształt z przodu, ale na krótko. Spoglądam w tamtym kierunku przez lunetę DC-17 i upewniam się, że to tylko moja wyobraźnia. Taler pokazuje widoczne prosto przed nami wyloty pięciu tuneli.

– Darman, zlikwiduj tamtego e-weba i utrzymaj pozycję!

Gestem daję znak, po którym Vin i Jay, niemal zetknięci plecami, ruszają w stronę wylotu korytarza, rozglądając się we wszystkie strony.

Unoszę głowę i spoglądam na sklepienie jaskini.

Wokół nas widać więcej Geonosjan, niż się spodziewaliśmy. O wiele więcej. Trafiam dwóch, którzy znajdują się nade mną, ale z tunelu po lewej już wyłaniają się następni. Od razu otwieram do nich ogień z samopowtarzalnego blastera, bo jeżeli pozwolę im się zbliżyć, eksplozje mogą mnie przysmażyć.

Mimo to cofam się pod wpływem siły odrzutu, zupełnie jakby ktoś uderzył mnie obuchem młota.

– Taler, tu Darman, odbiór. – Nie widzę go. Nie widzę nikogo z drużyny, ale do moich uszu docierają odgłosy szybko następujących po sobie strzałów. – Taler, tu Darman, słyszysz mnie? Odbiór.

Nie odbieram żadnego znajomego głosu. Dopiero po chwili słyszę fragmenty urywanych okrzyków:

– ...trafiony! Został trafiony!

Zastanawiam się kto. Kto został trafiony?

– Taler? Vin? Jay? Słyszycie mnie? Odbiór!

Straciłem łączność z pozostałymi członkami swojej drużyny.

Już ich więcej nie widziałem.

ROZDZIAŁ 1

NAGŁÓWEK ZASZYFROWANY

CZekać w pogotowiu czekać w pogotowiu
Wysunięte stanowisko dowodzenia na Geonosis
do bazy zaopatrzeniowej floty, Ord Mantell.

Przygotować się na przyjęcie transportowców
z ewakuowanymi żołnierzami. Ekipy medyczne
oceniają liczbę poważnie rannych na dwana-
ście tysięcy, powtarzam: dwanaście tysięcy.
Lżej rannych osiem tysięcy, powtarzam: osiem
tysięcy. Przybliżony czas przylotu: dziesięć
godzin. Logistyczny priorytet dla personelu
obsługi zbiorników z bactą.

Przygotować się na przyjęcie siedem-
dziesięciu dwóch tysięcy zdolnych do walki

KOMANDOSI REPUBLIKI. BEZPOŚREDNI KONTAKT
ŻOŁNIERZY, POWTARZAM: SIEDEMDZIESIĘCIU DWÓCH
TYSIĘCY, KTÓRZY ZOSTANĄ WYSŁANI W INNE MIEJSCA.
PRIORYTET DLA ZAOPATRZENIA W BRÓŃ ODDZIAŁÓW
KOMANDOSÓW.

KONIEC. BEZ ODBIORU.

Okręt szturmowy Republiki „Nieubłagany”: zadanie ewakuacji z powierzchni Geonosis. Czekać w pogotowiu.

REPUBLIKAŃSKI KOMANDOS 1136 patrzył na zastępy żołnierzy, którzy czekali w kolejce, żeby wejść na pokłady kanonierek.

Niektórzy nosili hełmy, inni nie, ale wszyscy mieli jego twarz... i wszyscy byli obcy.

– Ruszać się! – wykrzyknął podoficer załadunkowy, zamaszystymi gestami przynaglając żołnierzy do pośpiechu. – Tempo, nie guzdrać się, ludzie... Tak szybko, jak umiecie!

Kanonierki osiadały w chmurach pyłu, a żołnierze wskakiwali na pokład. Niektórzy odwracali się i wciągali towarzyszy, żeby okręty mogły szybciej wystartować. Nie było powodu, by się tłoczyć czy przepychać. W końcu ćwiczyli to tysiące razy, więc byli świetnie przygotowani do odwrotu z pola prawdziwej walki. A zresztą to nie był odwrot, bo tego dnia odnieśli pierwsze zwycięstwo.

Podczas lądowania każdej kanonierki wzbijały się w powietrzu chmury czerwonej geonosjańskiej gleby. RC-1136 – Darman – zdjął hełm i przejechał ostrożnie rękawicą po jego jasnoszarej powierzchni. Kiedy usunął kurz, zauważył kilka zadrapań i zwęglonych linii.

Podoficer załadunkowy odwrócił się do niego. Był niskim, pomarszczonym Durosem... jedną z naprawdę niewielu obcych istot, które pełniły służbę w Wielkiej Armii. Darman

jeszcze nigdy nie widział kogoś tak zniecierpliwionego i zirytowanego.

– A ty co, czekasz na specjalne zaproszenie? – warknął podoficer.

Komandos dalej wycierał hełm z kurzu.

– Czekam na moich towarzyszy – powiedział.

– Rusz swój błyszczący srebrzysty tyłek... i to natychmiast! – rozkazał rozgniewany Duros. – Muszę się trzymać rozkładu.

Darman ostrożnie podsunął płytkę kłykciową pod brodę podoficera i odczekał chwilę. Nie musiał wysuwać ukrytego wibroostrza ani nawet odpowiadać. Wystarczająco dobitnie dał do zrozumienia, co myśli o zachowaniu gburowatego Durosa.

– No cóż, możesz wejść na pokład, kiedy zechcesz – powiedział w końcu podoficer i cofnął się, żeby przynaglić kilku innych żołnierzy-klonów. Zadzieranie z komandosem nie było najrozsądniejszym pomysłem, zwłaszcza jeżeli ten komandos wciąż jeszcze nie ochłonął po wcześniejszej bitwie.

RC-1136 nigdzie nie widział pozostałych członków swojej drużyny. W końcu doszedł do wniosku, że dalsze czekanie na nich nie ma sensu, skoro się nie zgłosili. Może mieli tylko uszkodzone komunikatory, a może dostali się na pokład innej kanonierki.

Pierwszy raz w sztucznie krótkim życiu nie mógł się spotkać z ludźmi, z którymi go wychowywano.

Mimo to zaczął jeszcze pół standardowej godziny, dopóki kanonierki nie zaczęły lądować rzadziej, a kolejni żołnierzy się nie skróciły. W końcu na pustynnej równinie został tylko on, podoficer załadunkowy i sześciu innych klonów. Mieli się wznieść w powietrze ostatni.

– Lepiej wejść na pokład, kolego – odezwał się pojedynczym tonem Duros. – Nikogo więcej nie brakuje. To znaczy, nikogo żywego.

Darman ostatni raz omiótł spojrzeniem horyzont. Czuł się, jakby odwracał się plecami do kogoś, kto potrzebuje jego pomocy.

– Już wchodzę – powiedział i zajął miejsce na końcu kolejki. Kiedy kanonierka wzniosła się w powietrze, obserwował wirujące kłęby pyłu, malejące formacje skalne oraz rozsiane tu i ówdzie kępki roślin, dopóki Geonosis nie przemieniła się w rozmytą brązowo-czerwoną plamę.

Wciąż jeszcze mógł prowadzić poszukiwania na pokładzie „Nieubłaganego”. Nie wszystko było stracone.

W końcu kanonierka przeleciała przez ogromny otwór wrót hangaru okrętu i Darman powiódł spojrzeniem po przypominającym jaskinię pomieszczeniu. Roilo się w nim od zakutych w białe pancerze żołnierzy, kierujących się na wyznaczone miejsca zbiórki. Kiedy pilot wyłączył repulsory i kanonierka osiadła na płycie lądowiska, Darman przekonał się z zaskoczeniem, że wszyscy zachowują się bardzo spokojnie i cicho.

Powietrze w przepełnionym żołnierzami hangarze cuchnęło zatęchłym potem i drażniącą gardło wonią używanych karabinów blasterowych. Na lądowisku panowała taka cisza, że gdyby Darman nie widział wyczerpanych i rannych klonów, mógłby pomyśleć, że w ciągu poprzednich trzydziestu godzin nie wydarzyło się nic szczególnego.

Pokład drżał pod podszwami jego butów. Komandos zapatrzył się w przypadkowe wzory, jakie utworzyły na nich drobiny geonosjańskiego pyłu, i wtedy w polu widzenia zobaczył parę identycznych butów.

– Twój numer? – usłyszał głos, który był także głosem. Dowódca omiótł go promieniem identyfikacyjnego skanera.

Nie musiał go zresztą pytać o numer ani o nic innego, bo elektroniczne czujniki w udoskonalonej zbroi typu Katarn, w jaką zakuty był podwładny, wyjawiały natychmiast wszystkie informacje. Darman nie odniósł żadnych poważnych obrażeń i sanitariusze ekip medycznych na Geonosis przepuścili go bez badania. Robiąc przegląd rannych, ignorowali zarówno żołnierzy, którzy odnieśli rany zbyt ciężkie, by można im jeszcze pomóc, jak i tych, którzy mogli sami zadbać o siebie. – Słyszysz mnie? Odezwij się, synu.

– Nic mi nie jest, panie kapitanie – odparł w końcu podwładny. – Nazywam się RC-jeden-jeden-trzy-sześć. Nie przeżyłem wstrząsu. Czuję się dobrze. – Urwał. Już nikt nie zwrócił się do niego przydomkiem, pod jakim go znali pozostali członkowie drużyny... Darman. Wiedział, że bracia nie żyją. Jay, Vin, Taler... Po prostu to wiedział. – Panie kapitanie, czy ma pan jakieś wieści o RC-jeden-jeden-trzy-pięć...

– Nie – uciął dowódca, który na pewno słyszał podobne pytanie za każdym razem, ilekroć sprawdzał tożsamość jakiegoś żołnierza. Wskazał kierunek gestem dłoni, w której trzymał krótką laskę. – Jeżeli ich nie ma w ośrodku medycznym ani na liście rannych, to znaczy, że nie przeżyli.

Darman głupio zrobił, że zapytał. Powinien znać odpowiedź. Żołnierze-klony, a zwłaszcza komandosi Republiki, po prostu wykonywali swoją pracę. To był jedyny cel ich istnienia. Szkolący ich sierżant wielokrotnie powtarzał, że mają wielkie szczęście. W rzeczywistym świecie istoty wszystkich ras galaktyki zadawały sobie pytanie o sens i znaczenie życia i czasami nie potrafiły go znaleźć aż do śmierci. Klony nie musiały zaprzętać sobie tym głowy. Klony wiedziały. Były hodowane i szkolone tylko w jednym celu. Wątpliwości nigdy nie mąciły jasności ich umysłów.

Aż do tej pory Darman nie wiedział, co to wątpliwości. Nie przygotowało go do tego żadne szkolenie. Wypatrzył wolne miejsce pod jakąś grodzia, usiadł i oparł się plecami o zimną ścianę.

Obok zajął miejsce zwykły żołnierz-klon. Wciskając się między niego a sąsiada, z cichym klekotem otarł się płytką naramiennika o pancerz Darmana. Popatrzyli na siebie. RC-1136 rzadko miał okazję rozmawiać z innymi klonami, bo komandosów szkolono inaczej niż wszystkich pozostałych, nie wyłączając członków elitarnych oddziałów Zwiadu Wyspecjalizowanego. Pancerz klona był biały, lżejszy i mniej odporny niż udoskonalona zbroja komandosa, która zapewniała lepszą ochronę. Na pancerzu Darmana nie było też żadnych barwnych pasków, oznaczających stopień wojskowy.

Mimo to każdy z nich wiedział, kim i czym jest.

– Fajny DC – odezwał się żołnierz z nutką zazdrości w głosie, zerkając na należący do Darmana karabin typu DC-17. Zwykli żołnierze mieli cięższe i mniej wszechstronne karabiny typu DC-15. – Blaster jonowy, wyrzutnia rakietowych granatów przeciwpancernych i karabin snajperski?

– Ta-a – odparł Darman. Każdy element jego wyposażenia był udoskonalony. Życie żołnierza miało mniejszą wartość niż życie komandosa. To było normalne i Darman nigdy się nad tym nie zastanawiał... a przynajmniej nie długo. – Pełny zestaw funkcji.

– Coś pięknego. – Klon pokiwał głową z aprobatą. – Obowiązek spełniony, co, kolego?

– Ta-a – odparł cicho komandos. – Obowiązek spełniony.

Żołnierz nie powiedział nic więcej. Może wolał mieć się na baczności, ilekroć rozmawiał z komandosami? Darman wiedział, co inni sądzą o nim i jego towarzyszach z formacji. „Nie szkolą się jak my i nie walczą jak my. Nawet nie mówią jak my. Banda primadonn”.

Nie uważał się za zarozumialca. Po prostu potrafił wykonać każde zadanie, jakie powierzano zwykłym żołnierzom, i jeszcze więcej. Mógł brać udział w szturmie z oblężenia, tłumić rozruchy i powstania, uwalniać zakładników, wysadzać w powietrze, eliminować nieprzyjaciół, szpiegować i zbierać informacje, a także wykonywać wszelkie inne zadania w każdym terenie, w każdym środowisku i o każdej porze. Wiedział, że to potrafi, bo został do tego wyszkolony. Ćwiczył najpierw przy użyciu symulowanej, a później ostrej amunicji. Szkolił się z członkami swojej drużyny – trzema braćmi, z którymi spędził każdą chwilę świadomego życia. Rywalizowali z tysiącami innych drużyn, podobnych, ale nie takich samych, bo tylko oni byli braćmi z drużyny i tylko ich łączyła szczególna więź.

Mimo to nigdy nie nauczono ich, jak żyć z daleka od pozostałych. Darman miał się tego dowiedzieć w najboleśniejszy możliwy sposób. Był absolutnie przekonany, że jest jednym z najlepszych żołnierzy, jakich kiedykolwiek stworzono do wykonywania operacji specjalnych. Jego uwagi nie musiały rozpraszać codzienne problemy związane z zakładaniem rodziny czy zapewnianiem jej utrzymania. Zdaniem instruktorów miał szczęście, że nigdy nie będzie się musiał o to troszczyć.

Obecnie jednak czuł się samotny. Bardzo, bardzo samotny. Nie mógł przestać o tym myśleć.

Zastanawiał się nad tą sprawą długo, siedząc w milczeniu pod zimną ścianą. To, że przeżył, podczas gdy pozostali członkowie drużyny zginęli, nie stanowiło powodu do dumy. Darman odczuwał coś, co szkolący ich sierżant określał mianem wstydu. Prawdopodobnie tak się czuł ktoś, kto przegrał bitwę.

Tyle że oni wygrali. To była ich pierwsza bitwa, a oni zwyciężyli.

W końcu rampa lądownicza „Nieubłaganego” opadła i do hangaru wpadły jaskrawe promienie słońca Ord Mantell. Darman machinalnie włożył hełm i stanął w kolejce, żeby zejść na ląd i otrzymać inny przydział. Miał zostać zamrożony i przetrwać w takim stanie, dopóki nie dostanie nowego powołania do służby.

A zatem tak wyglądało pokłosie zwycięstwa.

Darman był ciekaw, o ile gorzej musi smakować gorycz porażki.

Imbraani, Qiilura: czterdzieści lat świetlnych
od Ord Mantell, Ramię Tingel

Łany dojrzewającego zboża barą falowały w podmuchach południowo-zachodniego wiatru, rzucając srebrzysto-rubynowe błyski. Lato dobiegało końca, a ciepły dzień mógł być naprawdę wspaniały, gdyby nie był jednym z najgorszych w życiu Etain Tur-Mukan.

Młoda kobieta biegła i biegła, aż opadła z sił. Nie troszcząc się o to, gdzie się znajduje, rozplaszczyła się między bruzdami i wstrzymała oddech. Nie poruszyła się nawet wówczas, kiedy zachlupotała pod nią cuchnąca ciecz.

Wiedziała, że ścigający ją Weequay nie może jej usłyszeć przez szum wiatru, ale i tak starała się nie oddychać.

– Hej, dziewczyno! – Etain usłyszała dobiegający z bliska chrzęst jego butów. Weequay ciężko dyszał. – Dokąd ty pójść? Nie być taka płochliwa!

„Nie oddychaj” – powiedziała sobie.

– Mam butelka urrqala – ciągnął jej prześladowca. – Ty chcesz się zabawić? – Dysponował zdumiewająco bogatym zasobem słów jak na Weequaya, chociaż tylko tych, które określały zaspokajanie najbardziej prymitywnych potrzeb. – Ja zabawa, kiedy ty mnie lepiej poznać!

„Powinnam była poczekać, aż się ściemni” – pomyślała Etain. „Mogłabym wtedy wpłynąć na jego umysł i postarać się, żeby dał mi spokój”.

Nie zrobiła tego. Nie mogła, chociaż bardzo starała się skupić. W jej żyłach płynęło zbyt wiele adrenaliny, a umysł zaczynała ogarniać panika.

– Daj spokój, chudzino! Gdzie ty się podział? Ja ciebie znaleźć...

Słychać było, że prześladowca przedziera się przez lany i zbliża do niej. Etain wiedziała, że gdyby wstała i znów rzuciła się do ucieczki, byłoby po niej. Jeżeli jednak zostanie w miejscu, w którym upadła, pijany Weequay wcześniej czy później ją odnajdzie. Nic nie wskazywało, żeby miał się zniechęcić czy zrezygnować z pościgu.

– Dziewcino...

Głos Weequaya dobiegał z bliska i z prawej strony, mniej więcej z odległości dwudziestu metrów. Etain zaryzykowała, nabrała powietrza w płuca i zaraz zacisnęła usta. Czowała w piersi ból, a oczy o mało nie wyszły z orbit.

– Dziewcino... – Jej prześladowca się zbliżał. Etain pomyślała, że na pewno zaraz na nią nadejście. – Dziewcino-o-o...

Wiedziała, co jej zrobi, kiedy ją odnajdzie. Jeżeli będzie miała szczęście, na końcu ją zabije.

– Dziew...

Weequay urwał i zaraz rozległo się głośnie plaśnięcie. Stęknął i chwilę później Etain usłyszała drugie plaśnięcie... tym razem krótsze, głośniejsze i mocniejsze, po którym dał się słyszeć jęk bólu.

– Ile razy muszę ci to powtarzać, *di'kucie?* – rozległ się głos nawykłego do rozkazywania mężczyzny. Kolejne plaśnięcie. – Nie... marnuj... mojego... czasu! – Jeszcze jedno plaśnięcie i następny jęk bólu. Etain przycisnęła twarz do

wilgotnej gleby. – Jeżeli jeszcze raz się urznieś albo zaczniesz prześladować jakąś kobietę, poderżnę ci gardło... stąd dotąd.

Weequay zaskomlał jak zwierzę, które nie może znieść bólu. Etain zbyt często słyszała ten dźwięk w ciągu krótkiego czasu, jaki spędziła na Qiilurze. Wreszcie zapadła cisza.

Nigdy wcześniej nie słyszała głosu mężczyzny, ale nie musiała. Dokładnie wiedziała, kim jest człowiek, który spoliczkował Weequaya.

Wyteżyła słuch, licząc się z tym, że zaraz jej plecy przygniecie ciężka podeszwa, ale usłyszała tylko chrzęst i szelest dwóch par butów, oddalających się przez lany zboża. Od czasu do czasu wiatr przynosił strzępki zdań, z których wywnioskowała, że mężczyzna nie przestaje wymyślać Weequayowi:

– ...ważniejsze...

Co mogło być ważniejszego?

– ...później, ale w tej chwili, *di'kucie*, chciałbym, żebyś... rozumiesz? Bo inaczej naprawdę poderżnę...

Etain uzbroiła się w cierpliwość i leżała nieruchomo. W końcu doszła do wniosku, że słyszy tylko szmer wiatru, szelest źdźbeł zboża i dochodzące od czasu do czasu, piskliwe jak dźwięk fletu odgłosy ziemnego węgorza, usiłującego przywabić samicę. Można już było normalnie oddychać. Dopóki się jednak nie ściemniło, Etain leżała z twarzą przyciśniętą do cuchnącego nawozu. W końcu uświadomiła sobie, że nie może dłużej zwlekać. Niedługo wyjdą z nor na łowy stada gdanów, a poza tym zaczynał się jej dawać we znaki fetor, na który nie zwracała uwagi, dopóki paraliżowało ją przerażenie.

Wsparła się na łokciach i kolanach, wystawiła głowę ponad falujące kłosa i zaczęła się rozglądać po okolicy.

Ciekawa była, dlaczego o tej porze ktoś zadał sobie trud rozrzucenia obornika na polu dojrzewającego barqa. Etain poszperała w kieszeniach i znalazła chustkę. Gdyby

w pobliżu płynął jakiś strumień, mogłaby się umyć i mniej więcej doprowadzić ubranie do porządku. Wyrwała garść źdźbeł zboża, zgmiotła je w kulę i zaczęła zdrapywać z ubrania nawóz z grudkami gleby.

– To zbyt cenne zboże, żeby wykorzystywać je w takim celu – usłyszała nagle głos jakiegoś mężczyzny.

Przełknęła ślinę, odwróciła się i zobaczyła miejscowego farmera w niechlujnym kombinezonie. Nieznajomy, chudy jak szczapa, trzymał narzędzie do mlócenia zboża i piorunował ją spojrzeniem. Wyglądał na przepracowanego i zirytowanego.

– Wiesz, ile to jest warte? – dodał.

– Przepraszam – powiedziała Etain. Dyskretnie wsunęła dłoń między fałdy płaszcza i zacisnęła palce na znajomym cylindrze. Nie chciała, aby Weequay się dowiedział, że ściga Jedi, ale gdyby nieznajomy farmer się zastanawiał, czy nie wydać jej za kilka bochenków chleba albo butelkę urrqala, musiała mieć miecz świetlny pod ręką. – Obawiam się, że miałam do wyboru: twój barq albo moje życie.

Farmer zacisnął wargi w wąską linię, spojrzał na zgniecione lodygi i rozrzucone paciorkowate ziarna. Rzeczywiście barq osiągał zawrotną cenę w restauracjach na Coruscant. Na taki luksus nie mogli sobie pozwolić uprawiający go na eksport qiilurańscy farmerzy. Naturalnie nic to nie obchodziło kontrolujących handel tym zbożem Neimoidian. Nigdy im to nie przeszkadzało.

– Zapłacę za wyrządzone szkody – zaproponowała Etain, nie wysuwając dłoni pomiędzy fałdów płaszcza.

– Właściwie dlaczego cię ścigali? – zapytał farmer, ignorując jej ofertę.

– Z tego samego powodu, co zwykle – odparła młoda Jedi.

– O-a. Wcale nie wyglądasz tak atrakcyjnie – zdziwił się mężczyzna.

– Dzięki za komplement.

– Wiem, kim jesteś.

O nie. Etain zacisnęła palce na rękojeści miecza świetlnego.

– Naprawdę? – zapytała.

– Tak mi się wydaje.

Trochę więcej jedzenia dla członków jego rodziny. Kilka godzin upojnego zapomnienia, jakie dawał urrqał. Tylko tyle dla niego znaczyła. Kiedy farmer drgnął, jakby chciał zrobić krok w jej stronę, Etain wyciągnęła rękę spomiędzy fałdów płaszczka. Miała dosyć uciekania i nie podobał się jej wygląd narzędzia do młócenia.

Vzzzzmmmm.

Farmer spojrział na kolumnę niebieskiego światła.

– Och, coś wspaiałego – mruknął. – Tylko nie to. Wcale was tu nie potrzebujemy.

– Właśnie to – odparła Etain, trzymając klingę broni nieruchomo przed twarzą. W żołądku czuła ciężki kamień, ale starała się panować nad drzeniem głosu. – Jestem padawanką i nazywam się Etain Tur-Mukan. Jeżeli chcesz sprawdzić moje umiejętności, możesz spróbować mnie wydać, ale wolałabym, żebyś zamiast tego mi pomógł. Twoja kolej, nieznajomy.

Farmer wpatrywał się w energetyczną klingę, jakby starał się ocenić wartość broni Jedi.

– Nie bardzo pomogła twojemu mistrzowi, prawda? – zapytał w końcu.

– Mistrz Fulier nie miał szczęścia – zauważyła padawanka. – I został zdradzony – dodała po chwili. Opuściła klingę miecza, ale nie wyłączyła broni. – Pomożesz mi?

– Jeżeli to zrobię, wkrótce będziemy mieli tu pełno siepaczy Gheza Hokana... – zaczął farmer.

– Prawdopodobnie są w tej chwili zajęci czymś innym – przypomniała mu Etain.

– Jakiej pomocy ode mnie oczekujesz?

– Na razie schronienia – odparła padawanka.

Farmer wciągnął z sykiem powietrze przez zaciśnięte zęby i chwilę milczał, jakby się zastanawiał.

– W porządku – odezwał się w końcu. – W takim razie chodźmy, padawanko...

– Wołałabym, żebyś nazywał mnie po prostu Etain. – Młoda kobieta przycisnęła kciukiem guzik na obudowie i wyłączyła energetyczną klingę. Kiedy światło zgasło z dźwiękiem podobnym do *ffumm*, Etain wsunęła rękojeść z powrotem między fałdy płaszcza. – Na wszelki wypadek – dodała.

Podążyła za farmerem, usiłując nie zwracać uwagi na przypływający o mdłości fetor, ale przychodziło jej to z wielkim trudem. Nawet wrażliwe na zapachy gdany nie uznałyby jej za istotę ludzką. Zaczynało się ściemniać. Farmer raz po raz oglądał się na nią przez ramię.

– O-a – odezwał się w pewnej chwili jakby do siebie i pokręcił głową. – Nazywam się Birhan, a to moja ziemia. Sądziłem, że ty i inni twojego pokroju potraficie się uciekać do różnych myślowych sztuczek.

– A skąd wiesz, że ich nie zastosowałam? – skłamała młoda padawanka.

– O-a – powiedział Birhan, ale nie dodał nic więcej.

Jeżeli do tej pory sam się nie zorientował, Etain nie zamierzała mu wyjawiać oczywistej prawdy. Zawiodła swojego mistrza, więc chyba nie była najlepszą padawanką. Miała kłopoty z samodyscypliną i z panowaniem nad Mocą. Trafiła na Qiilurę, bo ona i jej mistrz znajdowali się akurat w pobliżu, kiedy trzeba było wykonać pewne zadanie. Fulier nigdy jednak nie umiał oceniać sytuacji i nawet jeśli szanse były nikłe, nie potrafił oprzeć się wyzwaniu. Wszystko wskazywało, że

zapłacił za to najwyższą cenę. Do tej pory nikt nie odnalazł jego ciała, ale też i nikt nie miał od niego żadnej wiadomości.

Tak, Etain była padawanką, przynajmniej formalnie.

Dosłownie włos dzielił ją od budowania permakopu w ośrodkach dla uchodźców. Uważała, że częścią umiejętności Jedi jest podstawowa znajomość psychologii. A jeżeli Birhan przypuszczał, że Moc jest w niej silna i że pod zewnętrzną powłoką niezgrabnej, poplamionej nawozem, prostej dziewczyny kryje się coś więcej, nie miała nic przeciwko temu.

Taka opinia pozwoli jej przeżyć, dopóki się nie zastanowi, co z sobą począć.

Baza Zaopatrzeniowa Floty, Ord Mantell,
koszary Pięć Epsilon

To było marnotrawstwo, bezsensowne marnotrawstwo.

RC-1309 doprowadzał do porządku buty. Oczyścił zatrzaski, zdmuchując czerwony pył strumieniem sprężonego powietrza z pneumatycznego pistoletu. Zwilżył wykładzinę i potrząsnął, żeby usunąć krople wody. Nie było sensu siedzieć beczynnienie i czekać na zamrożenie.

– Panie sierżancie – usłyszał nagle czyjś głos.

Uniósł głowę. Komandos, który właśnie wszedł, położył na sąsiedniej pryczy zestaw umożliwiający przetrwanie, pancierz i czarny kombinezon. Spojrzał na RC-1309. Panel identyfikacyjny dowodził, że nieznajomy nazywa się RC-8015.

– Jestem Fi – oznajmił i wyciągnął rękę, żeby się przywitać. – A zatem i ty straciłeś wszystkich swoich towarzyszy?

– Nazywam się Niner – przedstawił się RC-1309, ale zignorował wyciągniętą rękę. – Ty także, *ner vod*, mój bracie, jesteś jedynym, który przeżył?

– Tak.

– Zostałeś z tyłu, kiedy twoi bracia rzucili się do ataku? – domyślił się RC-1309. – A może po prostu miałeś szczęście?

Stojąc przy pryczy, Fi ujął się pod boki. Pod każdym względem wyglądał jak Niner, a jednak był... inny. Mówił trochę inaczej, uśmiechał się w subtelnie odmienny sposób i poruszał się nie tak jak członkowie drużyny Ninera.

– Wykonałem zadanie – odezwał się w końcu RC-8015. – Wolałbym być teraz z nimi niż tu... *ner vod*.

Niner spoglądał na niego jakiś czas, ale później wrócił do czyszczenia butów. Fi złożył swój sprzęt w zamkniętym schowku obok pryczy, po czym jednym płynnym ruchem wskoczył na najwyższe piętro. Podłożył ramiona pod głowę i wpatrzył się w przepierzenie, jakby pogrążył się w medytacji.

Gdyby to był Sev, Niner wiedziałby dokładnie, czym się zajmuje. Nawet by nie musiał na niego patrzeć. Ale Sev zginął.

Żołnierze-klony tracili braci podczas ćwiczeń. Podobny los spotykał także niektórych komandosów. Żołnierze utrzymywali jednak bliskie kontakty z całymi plutonami, kompaniami, batalionami, a nawet pułkami, a to oznaczało, że nawet po nieuniknionej daninie śmierci podczas ćwiczeń z użyciem ostrej amunicji wciąż jeszcze mieli wokół siebie wielu towarzyszy, z którymi się przyjaźnili. W przeciwieństwie do nich komandosi wykonywali zadania w małych grupach.

Podobnie jak Fi, Niner stracił wszystkich, z którymi dorastał.

Stracił brata – Dwa-Osiem – już wcześniej podczas ćwiczeń. Pozostali przy życiu trzej komandosi zaprzyjaźnili się z jego następcą, chociaż zawsze mieli wrażenie, że tamten czymś się od nich różni. Odnosił się do nich z rezerwą, jakby nie do końca wierzył, że go zaakceptowali.

Mimo to wszyscy wykonywali powierzane im zadania doskonale – a dopóki to robili, ich kaminoañscy technicy

i instruktorzy najróżniejszych ras nie zwracali uwagi na to, co odczuwają ich podwładni.

Ale zwracali na to uwagę komandosi. Tyle że nikomu się z tego nie zwierzali.

– To było marnotrawstwo – odezwał się w końcu Niner.

– Co takiego? – zainteresował się Fi.

– Wysyłanie nas do udziału w takiej operacji, jak ta na Geonosis – odparł Niner. – To było zadanie dla piechoty, nie dla oddziałów specjalnych.

– To brzmi jak krytyka...

– Staram się tylko dowieść, że po prostu nie mogliśmy się wykazać maksymalną skutecznością.

– Rozumiem – odparł Fi. – Może po ożywieniu będziemy znów mogli robić to, do czego zostaliśmy wyszkoleni.

Niner chciał wspomnieć, że brakuje mu pozostałych członków drużyny, ale podobnych informacji nie przekazywało się obcej osobie. Obejrzał buty i stwierdził, że są w porządku. Rozłożył kombinezon na materacu swojej pryczy i omiół go promieniem sensora z rękawicy, żeby się upewnić, czy nadal jest odporny na oddziaływanie próżni. Cały rytuał był tak głęboko zakorzeniony w świadomości komandosów, że wykonywali wszystkie czynności automatycznie: utrzymywać w stanie zdatności buty, kombinezon i płyty pancerza, dokonać ponownej kalibracji systemów hełmu, przetestować HUD, rozebrać i złożyć karabin typu DC-17, a także sprawdzić zawartość zestawu do przetrwania, po czym zapakować go na nowo. Gotowe. Zajęło mu to dwadzieścia sześć minut i dwadzieścia sekund, plus minus dwie sekundy. Dbałość o sprzęt decydowała często o życiu lub śmierci... podobnie jak te dwie sekundy.

Zamknął kłapę plecaka z cichym szcęknięciem i zabezpieczył uszczelkę. Sprawdził zatrzaski utrzymujące pakunek

z ładunkami wybuchowymi, żeby sprawdzić, czy się nie zakleszczyły. Miało to duże znaczenie, kiedy trzeba było się nimi szybko posłużyć. Uniósł głowę i zauważył, że wsparty na łokciu Fi obserwuje go w milczeniu z górnej pryczy.

– Suche racje żywnościowe powinny się znajdować na piątym poziomie – powiedział.

Niner zawsze umieszczał je głębiej, między zapasową linią do zjeżdżania a przyborami do utrzymywania higieny osobistej.

– Może w twojej drużynie – odparł i wrócił do pracy.

Fi zrozumiał aluzję i obrócił się znów na plecy. Pewnie się zastanawiał, z iloma różnicami spotka się jeszcze w dalszym życiu.

Po chwili zaczął cichutko nucić:

– *Kom'rk tsad droten troch nyn ures adenn, Dha Werda Verda a'den tratu*. Byli gniewem cienia wojowników i rękawicą Republiki.

Niner znał tę pieśń. Tradycyjna mandaloriańska przyspiewka wojenna miała podtrzymywać na duchu zwykłych mężczyzn, którzy przed walką potrzebowali odrobiny psychicznego wsparcia. Słowa zostały trochę zmienione, żeby miały sens dla armii sklonowanych wojowników.

„No cóż, nam coś takiego nie jest potrzebne” – pomyślał Niner. „Zostaliśmy zrodzeni do walki i tylko do tego”.

Wkrótce jednak przyłączył się do śpiewania, co przyniosło mu ulgę. Umieścił sprzęt w zamykanej szafce, ułożył się na pryczy i dostosował ton i rytm do drugiego komandosa. W opustoszałym baraku koszar rozległy się dwa identyczne głosy.

Niner zamieniłby każdą pozostałą mu jeszcze chwilę życia na okazję przeżycia na nowo bitwy z poprzedniego dnia. Powstrzymałby wtedy Seva i DD i wysłałby Zero-Czwórkę na zachód z blasterem samopowtarzalnym e-web.

Żałował, że tego nie zrobił.

– *Gra'tua cuun hett su dralshy'a*. Nasza zemsta płonie jeszcze jaśniej.

Fi umilkł ułamek sekundy wcześniej niż Niner, który usłyszał, że leżący wyżej komandos przełyka ślinę.

– Byłem tam z nimi, sierżancie – odezwał się cicho. – Nie zostałem z tyłu. Naprawdę.

Niner zamknął oczy. Ubolewał, że Fi tak wziął sobie do serca jego pytanie, sugerujące brak zaangażowania w walkę.

– Wiem, bracie – powiedział. – Wiem.